

KAMIL PERT

## Dramat w domu obłąkanych

Powieść.

— Gdzie, po uregulowaniu rachunków, znajduje się pozostała suma?

— W kasie dyrektora. Rachunek z niej zapisany jest w naszych księgach.

Guillaume zamyślił się głęboko.

— Posiadacz znacznego kapitału ruchomego, opłacający tak drogo kurację, musiał być chyba człowiekiem bardzo bogatym.

Marceli ruchem rąk obu wskazał, że niema o tem pojęcia, następnie objaśnił słowami:

— Nic w tym względzie powiedzieć nie mogę, bo nic nie wiem, lecz doktor Jintot wiedzieć musi.

Guillaume poruszył się z miejsca.

— Chodźmy — rzekł — do pawilonu!

Komisarz, Julia i Marceli, posiłkując się znalezionymi kluczami, wyszli przez korytarz i drzwi, którymi zwykle tylko dyrektor wchodził i wychodził. Cały park zalewało złoto słonecznych promieni. Gromadka nasza złożona z trzech osób, przesuwając się cicho w cieniu drzew, rozbrzmiewających światłem ptasząt, dotarła wreszcie do Pawilonu Bzów. Marceli otworzył drzwi kluczem, służącym do użytku personelu zakładu. Julia, blada, milcząca, mocno wzruszona, wstępowała powoli na schody. Na dywanie pokrywającym je, widne były jeszcze liczne krwawe plamy. Guillaume spojrział na nią z politowaniem.

— Wszakże pani nie koniecznie potrzebuje nam towarzyszyć?

Lecz ona, budząc w sobie wysiłkiem woli odwagę, skinęła głową i szepnęła:

— Nie, nie! Pójdę... bo obecność moja, może się panu na coś przydać...

Jednakże, na pierwszym piętrze, słodkawa woń krwi sprawiła, że mimowoli w tył się nieco cofnęła i omal nie zemdląła. Guillaume podbiegł do okna i otworzył je szeroko.

— Świeże powietrze przyda się tutaj — rzekł z widocznym wstrętem.

Cały bezład, wywołany czynem zbrodniczym, panował tu dotąd wszelkownie. Komisarz tym razem jednakże nie zajął się poprzewracaniem mebli, ani krwią, plamą pościeli i kobierzec. Podszedł wprost do biurka i otworzył w niem szuflady, podając wszystko, co się w nich znajdowało szczegółowej i dokładnej rewizji, w tenże sam sposób zupełnie, w jaki przed chwilą badał przedmioty, należące do doktora Manescault. Lecz zrazu nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi. Nic również za singulującego na uwagę nie znalazł w innych meblach, wypełniających ten pokój oraz przyległy gabinet do ubierania się i salon.

— Nie mamy szczęścia! — szepnął Marceli zniechęcony.

Guillaume uśmiechnął się ironicznie.

— Cierpliwości!... Nie ukończyliśmy jeszcze naszych badań. Nie wątpię, że przy spokojnem wytrwaniu w poszukiwaniach, znajdzie to i owo, co będzie mogło nas zainteresować.

I z rutyną, opartą na długoletniem doświadczeniu, zaczął badać obicia na ścianach i wysłanie krzesel, słowem wszystko, co mogło posłużyć za rodzaj niełatwo odkryć się dającej skrytki. Macał również i materace w łóżku, tu jednak krępowany był koniecznością pozostawienia pościeli w pierwotnem położeniu, ze względu na zapowiedziane przyszłe poszukiwania sędziego śledczego. Machinalnie otworzył górną szufladę w stolicku nocnym, któremu dotąd nie przyjrzał się dość pilnie.

Twarz jego rozjaśniła się widocznem zadowoleniem.

— Jeszcze to nie wiele — zawołał — lecz bądź co bądź mam już cośkolwiek!

Brat i siostra zbliżyli się do niego pospiesznie.

— Co to jest? — zapytali naraz oboje.

Guillaume pokazał im pieczętkę i łaskę fioletowego laku, stopioną do połowy.

— Oto czem zapieczętowane były papiery, powierzone doktorowi.

— Czy w szufladzie niema nic więcej? — zapytał Marceli.

— Jest jeszcze mały kluczyczek dziwnego kształtu i jakiś dziennik.

Julia zauważyła:

— Skradzione papiery mogły być zamknięte w staromodnej teczce, do której właśnie należy ten kluczyczek.

Guillaume spojrział na nią z widocznem zajęciem.

— Co panią na tę myśl naprowadza?

— Kształt kluczyczka. Mam kluczyczek niemal zupełnie do tego podobny, zamykający teczkę safiową, która niegdyś należała do mego pradziada.

Komisarz skinieniem głowy przytwierdził jej słowom.

— Bardzo być może, że tak jest, jak pani mówi. Teczka zaś prawdopodobnie zawinięta była w papier, owiązana szpagatem i opieczętowana.

To mówiąc, rozwinął dziennik znaleziony w stolicku nocnym i zaczął go przeglądać z roztargnieniem. Widniała na nim data czerwcową i zdawał się nie zawierać nic interesującego.

Jednakże cyfry, wypisane atramentem przy kursach giełdowych i na marginesie stronicy, obudziły ciekawość byłego ajenta.

— No! no! — mruknął.

— Co pan dostrzega? — zapytał Marceli.

Lecz Guillaume machnął ręką, jakby zniecierpliwiony zapytaniem.

— Proszę do mnie nie mówić! — rzekł po chwili. — Muszę się nad czemś zastanowić.

Następnie przeszedł do sąsiedniego salonu, ażeby całkiem się odoosobnić, rozłożył dziennik na stole, usiadł przy nim i pograżył się w rozwiązywaniu zawilej zagadki, jaką zmarły po sobie pozostawił. W dziesięć minut później wrócił do pokoju, w którym Julii i Marcelemu dziesięć minut oczekiwania wydawało się wiekiem. Fyzjonomia jego promieniała nieukrywana radością. Potrząsał żwawo trzymanym w rękę dziennikiem.

— Albo jestem zupełnym niedołęgą, albo już wiem, co zawierała teczka Emanuela Laborda! — zawołał niemal z gorączkowym zapalem.

Poczem, nie dając słuchaczom swoim czekać dłużej na wyjaśnienie tajemnicy, wskazał im cyfry, nakreślone na dzienniku.

— Zdaje mi się, że to przedstawia listę papierów wartościowych, które posiadał pan Laborda, a które zamknięte były w opieczętowanym pakiecie, skradzionym w nocy, w ciągu której popełniono zbrodnię. Proszę się przyjrzeć. Przed niektórymi znajduje się znaczek, okrażony kółkiem, następnie numer porządkowy i druga cyfra, która, jak przypuszczam, wyobraża ilość posiadanych akcji tejże samej emisji. Patrzcie państwo... Przed obligacjami kolei żelaznej Paryż Lugdun-Morze Śródziemne, jest numer pierwszy i cyfra dwadzieścia cztery. Przed akcjami kolei żelaznej północnej jest numer drugi i cyfra pięćdziesiąt dwa. Otóż przenieśmy teraz wzrok na margines na odwrotnej stronie dziennika, a znajdziemy seryę cyfr, poprzedzoną numerami porządkowymi. Przy numerze pierwszym jest lista dwudziestu czterech cyfr, które są prawdopodobnie numerami każdej z dwudziestu czterech obligacji kolei Paryż Lugdun-Morze Śródziemne. Przy numerze drugim znajdujemy pięćdziesiąt dwie cyfr, przedstawiających... jak sądzę... akcje kolei północnej. Wszystkie inne znaki i cyfry tłómaczą się w tenże sam sposób... Wnioskuje zatem, że mamy tu wykaz papierów publicznych, które posiadał pan Laborda. I w tej chwili, zwracam waszą uwagę, że suma ich wartości pieniężnej jest ogromną. Zrobiłem obliczenie w przybliżeniu, względnie do kursu wskazanego przez tenże sam dziennik... i doszedłem do oceny kapitału, posiadanego przez człowieka, który tu śmierć poniósł, na z górą dwa miliony...

Julia i Marceli krzyknęli ze zdziwieniem:

— Dwa miliony!... Ależ to chyba niemożliwe!

— Nadzwyczajne, lecz w mojem przekonaniu zupełnie prawdopodobne — rzekł Guillaume.

Marceli zrobił zarzut:

— Przyjmując nawet za pewnik domniemanie, że pan Laborda mógł posiadać tak olbrzymią fortunę, należałoby równocześnie przypuścić, że powinien był swe ogromne kapitały ulokować w jakimś banku, a nie u mego szwagra... zwłaszcza, nie zawiadamiając go o wysokiej wartości depozytu.

Guillaume potrząsnął głową.

— Nawet i w tym fakcie nie widzę nic nieprawdopodobnego, baczac na towarzyszące mu okoliczności. Laborda był chory, neurastenik, prawdopodobnie trochę maniak, jeśli nie całkiem waryat. Do zakładu wszedł zaraz po swoim przybyciu do Francji. Można więc mniemać, że powziawszy zamiar udania się do Europy, uruchomił nagle cały swój majątek i nie miał czasu porozumieć się w Paryżu z ludźmi, trudniącymi się lokacją wielkich kapitałów i w ogólności załatwianiem poważniejszych interesów. Nadto wiadomą jest rzeczą, że dziecienni starcy i osoby, podlegające choćby tylko mało znacznemu rozrzedzeniu mózgu, nie ufają nikomu i chętnie przechowują przy sobie wszystko, co posiadają. Ze względu jednak, że regulamin zakładu nie pozwalał mu zatrzymać wartościowych papierów we własnym pomieszkaniu, powierzył je

dyrektorowi, o uczciwości którego nie mógł wątpić. Pomimo to, nie powiedział, co mieści cenny pakiet. Przedewszystkiem przez instyktową albo wrodzoną nieufność, a następnie, ponieważ wiedział, że doktor najniezawodniej nie zgodziłby się przyjąć i przechować tylu akcji, opiewających na tak wysoką sumę, zwłaszcza, że o ile sądzę z pewnych znaczków, nakreślonych przy cyfrach, akcje te są, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wystawione na okaziciela.

Marceli, wobec tak subtelnie zestawionych wniosków, wyraził swój podziw wykrzyknikiem pełnym zachwyty.

— To co pan mówi, panie komisarzu, jest niezmiernie ściśle obmyślane! Jaka bystrość w łączeniu spostrzeżeń! Jaka zdolność analityczna! A wszystko to wywnioskowane na podstawie kilku zaledwie nikłych hieroglifów!

Guillaume mówił dalej spokojnie, jakby nie słyszał wyrazów, którymi Marceli wygłosił swoje uznanie dla jego przenikliwości.

— Ażeby odkryć mordercę, trzeba nam teraz wskazać osoby, które mogły wiedzieć, albo domyślić się, czem były w istocie w depozyt oddane dokumenty, oraz którym był znany wyjątkowy fakt, że dyrektor nie zamknął pakietu w kasie lecz w sekretarzyku. Poczem nie łatwiejszego, jak odtworzyć przebieg dramatu. Laborda został uduszony pierwszy; doktora, ściągniętego podstępnie do pawilonu, zaszytytowanym w chwili, gdy się pochylał nad pacjentem, którego przedstawiono mu jako mocno cierpiącego. Następnie morderca, nie zapewniwszy się nawet, że dyrektor nie żyje, pobiegł do zakładu, żeby zabrać teczkę z papierami... Właśnie w tej chwili pani Manescault i pan Marsol zbliżyli się do szaletu. Doktor, cdyśkawszy momentalnie sił nieco, chciał prawdopodobnie zejść do parku, lecz pośliznął się i stoczył po schodach aż na próg pawilonu, gdzie ducha wyzionął, zanim zdołał udzielić jakichkolwiek wyjaśnień...

Marceli każdemu słowu komisarza przytakiwał gestem.

— Niezawodnie! Tak! Wszystko musiało odbyć się w ten sposób! Lecz, chciej mi pan powiedzieć z łaski swojej, kto według pańskiego mniemania, mógł popełnić zbrodnię?

Guillaume odpart stanowczo i bez wahania:

— Tylko cztery osoby posadzić o to należy: dozorcę szaletu, Mikołaja Sempuis, doktora Jintot i pana.

Posłyszawszy te wyrazy Julia, zdjęta trwogą, jęknęła żałośnie, a Marceli zbłądł jak chusta.

— Ja? — krzyknął przerażony.

Guillaume uśmiechnął się.

— Uspokój się młodzieńcze! Nie mówię że pana podejrzewam... Twierdzą tylko, że cztery osoby, do liczby których i pan należy, mogą być posadzone o spełnienie zbrodni, a to dlatego, że tym jedynie czterem osobom mógł Laborda zwierzyć się z posiadania znacznego kapitału, tudzież, że tylko owe cztery osoby miały możliwość posiąść klucze od drzwi, którymi wyłącznie sam tylko dyrektor wchodził i wychodził z zakładu.

— Ależ ja tych kluczy nie miałem! — krzyknął Marceli z naiwnym pośpiechem.

Były agent prefektury paryskiej nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Wierzę... lecz nie ulega wątpliwości, że gdybyś je miał, nie przyznałbyś się do tego najniezawodniej!

Wobec przyjaznego tonu, jakim słowa powyższe wypowiedział komisarz, uspokojony Marceli uśmiechnął się także.

— Ma pan słusność zupełną!

Po chwili Guillaume przemówił znowu poważnie:

— Co zaś do dozorcę szaletu...

— Maurycego Berthaut?... Nie było go tu. Powrócił dopiero wczoraj wieczorem.

— Czy rzeczywiście był nieobecny?

— O, niezawodnie!... Pokażę panu list rodziny, upraszającej doktora o przyjęcie do zakładu jednego z jej członków. Do listu dołączone były świadectwa lekarzy. Proszono o przystanie człowieka pewnego, któryby chorego zabrał z sobą. Jeden z krewnych miał mu towarzyszyć.

— Gdzie mieszkają ci państwo?

— W Orleanie... Misyę przywiezienia waryata spełnić miał Maurycy Berthaut. Wyjechał w tym celu w wilię dnia, w którym popełniono zbrodnię.

— Kto go wybrał i wysłał?

— Mój szwagier.

— Czy może pan zaręczyć, że nie uczynił tego pod wpływem rady, udzielonej mu przez jaką obcą osobę?... Bo chyba rozumiesz, że morderca pragnął usunięcia stąd dozorcę szaletu.

— Na to odpowiedzieć panu nie mogę, bo nie